

Helena Leblanc

Narzeczony Z miasta



Litera Inventa

Helena Leblanc

Narzeczony Z miasta



przeznaczenia #2



Litera Inventa

Copyright ©2025 by Helena Leblanc

Copyright ©2025 by Litera Inventa

Wydanie pierwsze, 2025

Redakcja: *Agata Bogusławska*

Pierwsza korekta: *Joanna Krystyna Radosz*

Druga korekta: *Renata Nowak*

Skład i łamanie: *Michał Bogdański*

Projekt okładki: *Agnieszka Makowska*

Źródło obrazu: *Harryarts, freepik.com*

Druk i oprawa: *Druk-24h.com.pl*

ISBN: 978-83-67355-24-7

© Wszelkie prawa zastrzeżone. Książka ani jej fragmenty nie mogą być przedrukowywane ani w żaden inny sposób reprodukowane lub odczytywane w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody autora lub wydawcy.

© All rights reserved

studio_litera.inventa@outlook.com



Prolog

Dwadzieścia pięć lat wcześniej, grudzień 1994

– Nie nadajesz się do niczego! – Ten głos ciągle wybrzmiewał w jej głowie. – Mój syn nie miał jaj, żeby zrobić syna, a twoja matka nie umiała urodzić mi wnuka. Po co komu taka mała głupia dziewczynka na wsi?

– Ale, dziadku...

– Lepiej się nie odzywaj! To przez ciebie babcia nie żyje. Zejdź mi z oczu.

Zosia wybiegła z salonu, zostawiając pogrążonego w żalu i złości dziadka. Schowała się na strychu i płakała. Płakała tak długo, aż zabrakło jej łez.

Dlaczego babcia nie żyje? Co takiego złego zrobiłam? – myślała, ale niczego nie wymyśliła. Doszła do wniosku, że skoro dziadek tak powiedział, to tak właśnie musiało być. Na pewno w jakiś sposób zawiniła.

Jej rodzice pojechali do szpitala, w którym zmarła babcia, żeby dopełnić formalności. Siedmioletnia Zosia została w domu z dziadkiem. Było zimno i ciemno, a świat wydawał się małej dziewczynce przerażającym miejscem.

Nigdy nikomu nie powiedziała o tym, co dziadek jej wygarnął. Wiedziała, że rodzice ją kochali, ale nadal czuła się winna.

Gdybym urodziła się jako chłopiec, dziadek i tata by się cieszyli.

Zosia bardzo kochała babcię Zofię. Ona zawsze miała dla niej czas. Czytała jej bajki, a potem pożyczała książki z domowej biblioteczki. Zaraziła ją pasją do czytania i nauki. Babcia nie pasowała do tego środowiska. Była jedyną damą na wsi i w rodzinie. Dziadek nie dorastał jej do pięt, a małżeństwa nie zawarli z miłości. Takie panowały wtedy czasy...

Wrzesień 2019

Zofia obudziła się spocona i z szybko bijącym sercem. Choć dziadek Władek nie żył od piętnastu lat, ciągle prześladował ją ten sam koszmar. „Nie nadajesz się do niczego” nadal brzmiało jej w głowie. „To wszystko twoja wina, mała, głupia dziewczynko”.

Dziadek zmarł, kiedy Zosia miała siedemnaście lat. Nie doczekała się od niego ani jednego dobrego słowa. I choć teraz miała trzydzieści dwa lata, jego pretensje wypowiedziane ćwierć wieku wcześniej wciąż ją dotyczyły.

Nigdy nie uważała się za kogoś wartościowego. Radek spotykał się z nią bardziej z rozsądku niż z miłości, bo przecież wcale nie chciał się żenić... *Do momentu aż poznał Adriannę* – pomyślała z żalem. A Patryk? Facet idealny, który wydawał się dla niej wprost stworzony... po prostu wyjechał i zostawił ją samą.

Kiedy Zosia się dowiedziała, że straciła wszystko, tylko utwierdziła się w przekonaniu, że jest nic niewarta. Ludzie we wsi jej nie znosili, obwiniali o zdradę i rozbitcie innego związku. Więc doszła do wniosku, że dziadek musiał mieć rację.

Nawet porządnej pracy nie umiem znaleźć. I wtedy stwierdziła, że właściwie nic jej już nie trzyma w Czarnym Lesie. *Wyjadę. Po prostu wyjadę i zacznę nowe życie daleko stąd.*



Rozdział I

Mój narzeczony się żeni

Październik 2019

Zofia Małkowska wstała rano, przygotowała się i wyszła do pracy. Całe szczęście, że przynajmniej przyszedł piątek. Jej życie wyglądało tak samo beznadziejne od dwóch miesięcy, od kiedy Patryk wyjechał, nie pozostawiając jej nawet odrobiny nadziei na to, że kiedyś wróci.

Widocznie nie byłam mu potrzebna. Nikomu nie jestem potrzebna – pomyślała zrezygnowana. Zresztą, kto chciałby wracać do takiej dziury po beznadziejną dziewczynę? Spojrzała na swoje odbicie w lustrze łazienki w urzędzie gminy. Zofia z Czarnolasu w Szczekocinach. Zatrzymałam się w poprzedniej epoce. A czas niestety pędzi nieubłaganie.

Wróciła do biura i zabrała się za pracę.

Od dwóch miesięcy każdy jej dzień ciągnął się tak samo i nie wyglądało na to, żeby to się miało zmienić w najbliższym czasie. A może i w najdalszym też nie...

Zosia wiedziała, że nie może mieć pretensji do Radka. On zachowywał się wobec niej w porządku, kiedy rzuciła go dla Patryka. Jak przyjaciół. Nie wściekał się, nie krzyczał. Nawet próbował ją wspierać.

Owszem, wyglądał na zwiedzonego, ale przecież miał prawo tak się czuć. Umówili się na coś i to ona nie dotrzymała słowa.

Co z tego, skoro to wszystko na darmo? Patryk, który w jej oczach wydawał się cudowny i nie z tego świata, zmył się po tygodniu i więcej go nie zobaczyła.

Dzwonek telefonu wyrwał ją z zamyślenia.

– Pani Zosiu, proszę do mnie. – W słuchawce usłyszała głos burmistrza.

Jacek Koszatek został jej szefem ponad dwa lata temu. Dokładnie wtedy, kiedy zdecydowała się wrócić z Warszawy i została zatrudniona w Urzędzie Gminy i Miasta Szczekociny¹ oraz w miejskim muzeum. Czterdziestoseściolatek zajmował stanowisko burmistrza Szczekocin już trzecią kadencję i zapowiadało się, że usunie go stamtąd dopiero nowa rządowa ustawa zakazująca pracy na czele gminy więcej niż dwukrotnie. Był bardzo popularny w swojej miejscowości. Pewnie dlatego, że kiedyś pracował za granicą i teraz próbował wprowadzić w Szczekocinach trochę Europy. *Zupełnie jak Piotr I* – myślała sobie czasem Zosia, obserwując szefa.

Burmistrz miał niewiadomego pochodzenia słabość do Zofii. Nie tylko ją zatrudnił i bez szemrania zaoferował łączony etat w urzędzie i muzeum – choć gmina nie należała do zbyt bogatych – ale też zawsze traktował kobietę z najwyższą atencją. Może dlatego, że młodsza o czternaście lat Zosia, która przyjechała z Warszawy, przypominała mu trochę jego samego, kiedy po dziesięciu latach spędzonych w Wielkiej Brytanii wrócił do rodzinnej miejscowości z nadzieją, że rozślawi Szczekociny trochę dalej niż na powiat zawierciański.

Zosia miała takie same marzenia odnośnie do rodzinnej gminy. Nieraz oglądali razem z burmistrzem zdjęcia i ryciny pałacu

1 Celowo podaję inną nazwę niż funkcjonuje w rzeczywistości. Historia jest fikcyjna, więc i urząd musi być.

Dembińskich z czasów jego świetności i wspólnie wzdychali nad jego stanem.

Tym razem jednak Jacek Koszatek wezwał ją w celu innym niż uzalanie się nad losem zabytków.

– Dzień dobry, pani Marysiu. – Zosia przywitała się z sekretarką burmistrza, kobietą, która pracowała na tym stanowisku od lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku i już dawno powinna iść na emeryturę. – Szeł mnie wzywał.

– Dzień dobry, kochanieńka. Tak, Jacuś mi mówił, że masz przyjść. Wchodź, jest sam – poinformowała ją pani Maria.

Rządziła się w sekretariacie, tym bardziej że burmistrz był jej chrześniakiem. Za nic miała jego protesty, żeby przy ludziach nie nazywała go „Jacusiem”. Ona wiedziała lepiej.

Jacuś. Zosia zachichotała bezgłośnie. Bała się podpaść pani Marii, chyba nawet bardziej niż burmistrzowi.

– Dzień dobry, szefie – przywitała się po wejściu do gabinetu.

– Piękna Zofia z Czarnolasu. Czemu nie ma pani na imię Urszula? – spytał burmistrz, zupełnie wpisując się z retoryką swojej starej ciotki.

Ta gmina to dom wariatów – pomyślała Zosia i westchnęła.

– Gdybym miała na imię Urszula, spytałby mnie pan, czemu nie umarłam w dzieciństwie, a mój ojciec z rozpaczy nie napisał trenów? – odpowiedziała równie głupim pytaniem.

– Nie. – Burmistrz od razu spoważniał, poprawiając się na krześle. – Ma pani rację, dość tych błazeństw.

– Cieszę się. Na pewno wezwał mnie pan z jakiegoś ważnego powodu.

– Z bardzo ważnego. Tylko pani mi może pomóc. Pewnie nie wie pani jeszcze, że szykujemy się do ogłoszenia przetargu na zagospodarowanie pałacu Dembińskich?

– Mówiło się o tym już od dłuższego czasu...

– Przekłęci plotkarze! – sarknął burmistrz.

– Spokojnie, szefie. Myślę, że żadne konkrety nie wyszły poza ten urząd.

– Oby. Tak więc chciałbym, żeby pojechała pani ze mną na szkolenie do Radziejowic.

– Dokąd?

– Zespół pałacowo-parkowy w Radziejowicach w powiecie żyrańskim – wyjaśnił. – Miał więcej szczęścia niż nasz, bo od lat sześćdziesiątych mieści się tam Dom Pracy Twórczej.

– Żal naszego pałacu...

– Tak, żal, dlatego chciałbym go sprzedać komuś, kto postawi go na nogi. Potrzeba nam miejsc pracy i czegoś, co przyciągnie turystów do Szczekocin przez cały rok. Na szkoleniu pojawi się wielu potencjalnych inwestorów, a także ludzi, którzy siedzą w tej branży od dwóch, a nawet trzech dekad.

– Znaczący od czasów, kiedy chodziłam jeszcze do szkoły podstawowej. – Zosia się zaśmiała.

– A ja do średniej, i to za granicą. Trochę mnie ominęło z tej naszej polskiej dzikiej prywatyzacji – stwierdził burmistrz. – Ale za to podpatrzyłem wielowiekowe tradycje brytyjskie.

– Pan naprawdę chce to zrobić. – Zosia zrozumiała, że jej szef mówi poważnie.

Chciał pozyskać inwestora dla kompleksu parkowo-pałacowego w Szczekocinach i przywrócić mu dawną świetność. Poczula podziw zmieszany ze strachem. To naprawdę ogromne przedsięwzięcie.

– Tak. A proszę mi powiedzieć: co wyszło z tym artykułem naukowym, który pisał o naszym pałacu pan doktor z Wrocławia? Jak mu tam...?

– Patryk Potocki – odpowiedziała niechętnie Zosia. Nie chciała przypominać sobie o tym mężczyźnie, jeśli nie musiała.

– Taki artykuł, opublikowany, wzbudziłby zainteresowanie w środowisku naukowym. Może udałoby nam się zorganizować jakąś konferencję? Proszę się dowiedzieć kiedy i gdzie ukaże się ta praca.

– Dobrze.

I jak ja mam o nim zapomnieć?

– To świetnie. Już dwie sprawy mamy omówione. Pozostało pani stanowisko.

Słucham?

– T-t-tak? – Zosia nie umiała wydać z siebie wyraźnego słowa. Jeszcze tego jej brakowało, żeby straciła pracę. *A może to dobrze? Wtedy już nic nie będzie mnie tu trzymało* – pomyślała i spojrzała na burmistrza zrezygnowana.

– Tak. Chciałbym zmniejszyć pani etat w urzędzie...

Wiedziałam!

– ...i zaproponować stanowisko kierownika miejskiego muzeum – dokończył zadowolony z siebie burmistrz.

– Co?

– I tak spędza pani więcej czasu w muzeum niż tutaj i, szczerze mówiąc, cieszę się, że ktoś w końcu zajmuje się tym przybytkiem z sercem. Zachowa pani pół etatu na stanowisku urzędniczym do spraw kultury, ale oddeleguję panią do muzeum. Naturalnie, dostanie pani dodatek kierowniczy. Czy taka propozycja pani odpowiada? – spytał.

Czy on na głowę upadł, że pyta?

– Tak, oczywiście, szefie – odpowiedziała Zosia, nie wiedząc, czy ma oddychać z ulgą czy skakać z radości. Nie udałoby jej się zrobić jednego i drugiego naraz. Za to rzuciła się szefowi na szyję i powiedziała cicho: – Dziękuję. Naprawdę, nie chciałam stąd odchodzić.

– A myślała pani o tym? – zdziwił się.

Zosia odsunęła się na bezpieczną odległość, trochę speszona swoją śmiałością.

– Proszę mi tego nie robić. – Jacek Koszatek przywdział minę jak kot ze *Shreka*, tyle że popatrzył na Zosię z góry.

Kurde, gdyby on nie był moim szefem... – przemknęło Zosi przez myśl. *I gdyby nie miał żony, idiotko!* – zgałła się zaraz. *Nigdy więcej nie zainteresujesz się zajęтым facetem. To ostateczne!*

Zosia nie wahała się ani chwili. Odsunęła się od szefa jeszcze bardziej i pewnym głosem oznajmiła:

– Naprawdę zastanawiałam się nad wyjazdem.

– To przez tego doktora? Tak na panią wpłynął jego pobyt w Szczekocinach?

– Raczej wyjazd – odparła uczciwie. – Zostawił mnie na lodzie.

– A więc tak to wyglądało...

– Nieważne. Jestem profesjonalistką. Nie pozwolę, żeby złamane serce przeszkodziło mi w pracy. Nie pierwszy i nie ostatni raz ktoś mnie zawiódł. Ja też nie zachowałam się w porządku wobec bliskiej osoby. Ale pałac w Szczekocinach jest dla mnie bardzo ważny i chcę, żeby inni mogli go podziwiać w pełnej krasie.

– Pani Zosiu, zależy mi na współpracy z panią, ale jeśli naprawdę dojdzie pani do wniosku, że chce spróbować szczęścia gdzie indziej, to proszę mnie poinformować choć trochę wcześniej, żebym mógł się przygotować. Zgoda?

– Tyle mogę obiecać. – Zosia zgodziła się na prośbę burmistrza.

– Mam rozumieć, że przyjmuje pani stanowisko kierownika muzeum i pojedzie ze mną na to szkolenie? Jest pod koniec października.

– Oczywiście. Dziękuję za zaufanie.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Szeł puścił oko do Zośki, a ona znowu poczuła się nieswojo.

– Skoro to już wszystko, to mogę odejść? – spytała.

– Odejść nie. Może pani wracać do pracy. – Burmistrz się zaśmiał, ale nerwowo.

– Tak, jasne. Wracam do pracy. Do widzenia.

– Do zobaczenia, pani kierownik.

Zosia wyszła od burmistrza, pożegnała się z panią Marią i wróciła do swojego biura. „Podinspektor Zofia Małkowska, Referat Ochrony Zasobów Kultury”, przeczytała tabliczkę na drzwiach i weszła do środka. *A jednak ktoś tu docenia moją pracę* – zauważyła. *Przynajmniej jeden burmistrz.*

Nadal nie była jednak pewna, czy nie powinna wyjechać z Czarnego Lasu. Mieszkanie u rodziców miało swoje zalety, takie jak brak konieczności opłat za wynajem, czynsz i media, ale przecież nie mogła im siedzieć na głowie do końca życia. Poza tym ludzie we wsi nie przestali nagle patrzeć na nią dziwnie tylko dlatego, że Radek szybko znalazł sobie pocieszenie w ramionach Adrianny.

Swoją drogą, prawdziwa ironia losu, co nie? Dwoje porzuconych okazało się dwójkiem wygranych w tej rozgrywce.

Zosia przypomniła sobie słowa swojej przyjaciółki Wiolety: „W miłości i na wojnie wszystkie chwytty są dozwolone”. *Czy na pewno wszystkie?* Miała ochotę wybrać numer przyjaciółki, opowiedzieć, co się stało, i jej wygarnąć, ale po pierwsze, to nie wybór i wina Wioletki, tylko jej, a po drugie, tak naprawdę wcale nie żałowała tego niesamowitego tygodnia spędzonego z Patrykiem Potockim. To był pierwszy i jedyny czas w całym jej życiu, kiedy wszystko wydawało się jak najbardziej na miejscu, kiedy czuła się wspianiale. Nawet jeśli tylko przez chwilę.

A może powinnam spróbować go odzyskać? Może właśnie tego nie powinnam odpuścić?

Jej rozmyślanie znowu przerwał telefon. I znowu od burmistrza.

– Pani Zosiu, zapomniałem powiedzieć, że szkolenie jest dwudniowe. Proszę sobie zarezerwować dwa ostatnie dni października. Wyjazd w środę z samego rana, powrót w czwartek wieczorem. Pani Maria wypisze nam delegacje. Proszę jej przypomnieć dzień przed wyjazdem.

– Oczywiście, szefie, przypomnę. Dziękuję za doprecyzowanie terminu.

– Proszę bardzo. Tak pomyślałem, że to ważne, bo wyjazd jest tuż przed Wszystkimi Świętymi – stwierdził. – Do usłyszenia.

Burmistrz się rozłączył, a Zosia westchnęła głośno. Pracowała w biurze sama, więc mogła sobie na to pozwolić. Całe dwa dni? I nocleg? Nie była zbyt zadowolona, ale do jej obowiązków nie należało dyskutowanie z szefem o szkoleniach.

Trzeba w końcu dorosnąć, Zośka. Nie możesz pozwolić, żeby złamane serce przestąpiło ci zdrowy rozsądek.

Tego dnia Zosia wróciła do domu po pracy w wiesielczym humorze. Jak na złość, minęła się z Radkiem, który akurat wracał z pola. On miał jeszcze w sadzie ostatnie jabłka i kończył już zbiory. *A potem znajdzie więcej czasu dla niej...*

Zosia nie mogła powiedzieć złego słowa o Adriannie. Dziewczyna była miła, grzeczna, aż nazbyt ufna. Nigdy nie widziała jej wścieklej. No może poza tym razem, kiedy Ada rzuciła w Patryka jego telefonem. Ale to przecież zrozumiałe. Na jej miejscu każda kobieta by się wściekła. W końcu zobaczyła swojego faceta w objęciach innej.

W moich objęciach. I znowu przypominam sobie o Patryku. Westchnęła zrezygnowana.

– Kochanie, wyglądasz jak ostatnie nieszczęście – zauważyła jej mama, kiedy Zosia weszła do kuchni.

– Dzięki, nie ma to jak dostać wsparcie ze strony najbliższych.

– Nie chciałam cię zasmucić. Po prostu martwimy się z tatą. Jesteś naszym jedynym dzieckiem.

– I to też moja wina? – spytała Zosia oburzona.

– Skąd! Chciałam powiedzieć, że jesteś dla nas najważniejsza.

– To miłe, ale chwilowo nic mi nie pomoże. Muszę sama uporać się z tym bigosem, którego narobiłam.

– Czy z Radomirem to pewne, że koniec?

– Już od dawna, mam.

– A ten młodzieniec, który przyjechał do nas w lecie?

– Nie odzywa się od wyjazdu. Po prostu dajcie mi spokój. Muszę sobie wszystko poukładać.

– Nie mogę patrzeć, jak jesteś smutna.

– To może się wyprowadzę?

– Dziecko!

– No właśnie, mam. Mam trzydzieści dwa lata! Już dawno nie jestem dzieckiem! – Zosia wkurzyła się i wybiegła z kuchni.

Nie zdążyła nawet za dużo zjeść. Ostatnio w ogóle nie jadła zbyt wiele. Schudła z kości na ości. Miała jednak inne zmartwienia niż własna figura. *Co jest ze mną nie tak?*

Zosia poszła wziąć prysznic, a potem położyła się w łóżku. Miała ochotę zadzwonić do Wiolety, ale obawiała się, że za telefon w piątek wieczorem musiałaby potem oddać w złocie. Wiolka prowadziła imprezowy tryb życia i o tej porze bywała... zajęta.

Zostanę, ale to ostatnia szansa. Jeśli znowu coś pójdzie nie tak, to wynoszę się stąd i nie oglądam się za siebie.

Zasypiając, miała przed oczami obraz, który uderzył w nią jakiś czas temu. Zdjęcie z Facebooka Adrianny, na którym ktoś ze znajomych Radka złośliwie oznaczył Zosię. Ada tańczyła tam z mężczyzną, a on wpatrywał się w nią tak, jak nigdy nie patrzył na Zośkę. Ta, w przypływie masochizmu, zapagnęła przejrzeć wszystkie zdjęcia Ady, zwłaszcza te stare, z Patrykiem, ale z zaskoczeniem odkryła, że kobieta usunęła stamtąd ślady obecności eksfaceta. Zostawiła tylko swoje zdjęcia i to jedno z Radomirem, z jakiegoś innego wesela, bo w tle widać było młodą parę.

Wbrew pozorom Zosia nie zazdrościła Adriannie Radka. Zazdrościła jej szczęścia. Ciągle myślała tylko o mężczyźnie, który zawładnął jej sercem i umysłem.

Patryk. Co robisz? Czemu się nie odzywasz?



Zosia obudziła się w sobotę rano i od razu poczuła potrzebę, żeby wyjść z domu. Nigdy nie biegła, ale nagle zachciało jej się pójść na spacer. Idąc w kierunku lasu, zobaczyła, jak z naprzeciwka wracają Radek i Ada, objęci, roześmiani. Zatrzymała się, a jej mina zrzedła. Nie mogła mieć do nich pretensji, lecz widok ich szczęścia rył jej dziurę w sercu.

– Cześć, Zosiu – przywitała się z nią Ada serdecznie.

– Cześć, Ada. Cześć, Radek – odpowiedziała Zosia, unikając ich wzroku. – Spędzacie razem weekend – zauważyła.

– Tak, przyjechałam wczoraj wieczorem, bo Radek jeszcze nie może się stąd urwać, nawet na kilka dni – odpowiedziała Adrianna.

– I korzystamy z ładnego poranka, żeby się przejść. Zaraz muszę się brać za robotę – dodał Radek.

– A ja będę cały dzień czekać i marudzić. – Ada z uśmiechem puściła oko do swojego mężczyzny.

– Och! – Zosia zrozumiała, że Adrianna strasznie się nudziła, kiedy Radek pracował. Sama pamiętała, jak musiała czekać, aż znajdzie dla niej wolną chwilę. I nagle stwierdziła, że ma ochotę porozmawiać z Adą. *To wszystko wydarzyło się tylko kilka miesięcy temu, a wydaje się, jakby minął rok.*

– Ja też nie mam dziś nic specjalnego do roboty – przyznała. – Może dotrzymałabym ci towarzystwa?

– To wpadnij do mnie – zaproponowała Adrianna.

– Nie sądzę, że to dobry pomysł. – Zosia wołała unikać wizyt w domu swojego eks. – Ale może ty przyjdiesz do mnie?

– Dobrze, jesteśmy umówione. – Adrianna się uśmiechnęła, a Radek objął ją mocniej i pocałował w policzek.

Zosia poszła dalej w las, licząc na to, że spacer pomoże jej poukładać szalejące myśli i ukoji zszargane nerwy.



Adrianna zobaczyła Zosię z daleka, więc pociągnęła Radka za rękę w jej stronę. Niedoszła narzeczona jej faceta wyglądała okropnie. Była blada, miała cienie pod oczami i chyba schudła, lecz nie zdrowo, tylko chorobliwie. Adriannie zrobiło się jej żal. Wiedziała, że Zosia musiała zarówno leczyć złamane serce, jak i mierzyć się z konsekwencjami dokonanych wyborów. W małej wiejskiej społeczności nic nie uchodziło uwadze sąsiadów.

A ona sama właściwie mogła być wyłącznie wdzięczna kobiecie za to, że uwolniła ją z toksycznego związku i pomogła znaleźć nową miłość. Z radością przyjęła więc jej propozycję.

Kiedy Zosia poszła w swoją stronę, a oni wrócili z Radkiem do domu jego rodziców, Ada uznała, że musi to obgadać.

– Szkoda mi jej. – Westchnęła.

– Mnie też, ale nie mogę żałować tego, co się stało – stwierdził i popatrzył na nią z miłością.

– Ja też nie – musiała przyznać.

– A co ty na to, żebym zajął ci jeszcze trochę czasu, zanim pojedę do sadu? – spytał nagle z szelmowskim uśmiechem, przyciągnąwszy ją do siebie zachłannie.

– Radek, zachowuj się, twoi rodzice nas usłyszą. – Ada chichotała, próbując się opędzić od jego wszędobylskich rąk.

– Ja mam sposób, żeby nas nie usłyszeli, ale to ty musisz się zachowywać cicho – stwierdził, po czym przerzucił ją sobie przez ramię i nie zważając na piski, zaniósł do sypialni. Zrzucił Adę na łóżku i zaraz unieruchomił ją w objęciach. – Kocham cię – wyszeptał jej prosto do ucha, a potem zaczął całować.

Adrianna poddała się zupełnie. Choć przyjechała w piątek wieczorem i od wczoraj kochali się ze trzy razy, nie miała nic przeciwko jego nienasyceń. Ona też cierpiała na niedobór Radka po prawie dwóch tygodniach rozmów telefonicznych i wyobrażeń o tym, jak im będzie razem. Oficjalnie zostali parą miesiąc temu, czyli tuż po weselu Michała, ale przez ten czas spędzili ze sobą zaledwie dwa weekendy. Ten miał być trzeci.

Do końca okresu wypowiedzenia w firmie Adrianna miała jeszcze ponad miesiąc. Uznała, że zamiast szukać pracy we Wrocławiu, przejrzy oferty w okolicach Radka. Tak jak myślała, to okazało się trudniejsze. Czekwały ich wielkie zmiany. Zwłaszcza ją. Trochę się bała, ale też nie mogła się doczekać, jak to będzie z Radkiem na co dzień.

– Ada, o czym ty w ogóle myślisz? – spytał Radek, który zauważył jej zatroskaną minę. – Nie spisałem się?

– Było cudownie, głupolu. – Zaśmiała się. – Po prostu potrzebuję czasem porozmawiać.

– Ale wiesz... ja naprawdę muszę już iść do pracy. Samo się nie zrobi. – Westchnął i spojrzał na nią przepraszająco.

– Wiem, kochany. Poradzę sobie, nie musisz się martwić.

– Naprawdę chcesz się spotkać z Zośką?

– Tak. To jedyna znajoma osoba tutaj, a poza tym, jak by nie patrzeć, wiele nas łączy. – Zażartowała.

– Nic was nie łączy – prychnął Radek. Wstał i zaczął się ubierać, tym razem w robocze ciuchy.

Adrianna z przyjemnością patrzyła na jego pięknie wyrzeźbione męskie ciało. Aż oblizwała usta w zachwycie.

– Ty mi się tak nie oblizuj, bo nigdy stąd nie wyjdę, łobuziaro – pogroził jej. – Ale nie martw się, do jutra jeszcze zdążę cię tak wymęczyć, że nie będziesz miała siły chodzić – zagroził.

Adrianna się zarumieniła i przewróciwszy się na brzuch, ukryła twarz w poduszce. Zebrała za to klapsa na goły tyłek.

– Mówiłem, żebyś mnie nie prowokowała? Ja naprawdę mam mnóstwo pracy. Zlituj się, Ada.

– Dobrze, już dobrze, ubiorę się – odparła, po czym wstała. Nie mogła sobie jednak podarować, żeby nie podejść i nie przytulić się do niego nagim ciałem.

– Wykończysz mnie, kobieto. – Radek sapnął, czując, że zaraz znowu przestanie się mieścić w spodniach. A przecież dopiero się z nią kochał. Czwarty raz od wczorajszego wieczoru.

– Idź do pracy. Jak wrócisz, tu mnie znajdziesz – obiecała, patrząc mu w oczy z miłością. – Wcześniej pójde na spacer z Bratkiem – dodała.

– W porządku, skarbie. Do zobaczenia później.

Radek kolejny raz pocałował swoją ukochaną i wyszedł, bo jeszcze chwila i jego silna wola okazałaby się za słaba. Nigdy żadna kobieta nie działała na niego tak, jak Adrianna. *Moja prywatna Afrodyta*.

Adrianna też się ubrała, bo nie czuła się swobodnie w domu rodziców Radka bez niego. Potem wzięła smycz i poszła zabrać psa na spacer.

Bratek nie posiadał się z radości, kiedy zobaczył, że wychodzą. Od kiedy pojawiła się ta kobieta, na której punkcie jego pan zupełnie oszalał, pies częściej wychodził na spacer i miał z tego dużo radości. A Ada cieszyła się, że wreszcie jakiś zwierzak ją polubił.

Po spacerze z Bratkiem wróciła do domu. Nie żeby nie chciała przesiadywać z mamą Radka... Ale nie, nie chciała. Mirosława Zarzecka była bardzo miła, lecz Ada czuła, że nie jest tym, kogo ta kobieta widziałaby u boku swojego syna. Robiło jej się z tego powodu przykro, bo przecież rodzice Radka nie zdążyli jej nawet za dobrze poznać, a już się uprzedzili. I to dlaczego? Bo mieszkała w dużym mieście?

Zamiast więc spędzić czas samotnie w pokoju, czekając na swojego faceta, Adrianna postanowiła się przejść do Zosi.



Po pewnym czasie Zosia poczuła, że jest już zmęczona i bardzo głodna. Długi spacer z samego rana i dodatkowe emocje wymęczyły ją bardziej, niżby się spodziewała. Wróciła do domu i wpadła prosto do kuchni, skąd doleciały ją boskie zapachy.

– O, mam, zrobiłaś tosty! Życie mi ratujesz. – Westchnęła.
– Dziecko! – krzyknęła pani Małkowska, ale po chwili ugryzła się z język; najwyraźniej pamiętała, jak nerwowo Zosia zareagowała

poprzedniego dnia, gdy tak ją nazwała. – To znaczy: Zosiu! Jeszcze nic nie jadłaś?

– Poszłam na spacer, mamó. Musiałam pomyśleć w spokoju.

– Lepiej jednak robić takie rzeczy po śniadaniu. Jeszcze byś gdzieś zemdląła w tym lesie.

– No to zjadłyby mnie wilki i problem by się rozwiązał – sarknęła Zośka.

Mama spojrzała na córkę z przerażeniem. Nie była ani tak mądra, ani wykształcona jak ona, lecz przecież matczyzny instynkt nigdy jej nie zawiódł. Zosia miała duży problem i nie umiała go rozwiązać.

– Martwisz mnie, skarbie.

Zosia popatrzyła na przestraszoną twarz mamy i zrobiło jej się przykro, że dokładnie rodzicom problemów.

– Przepraszam, mamó. To trochę potrwa, ale przecież sobie poradzę. Sama jestem sobie winna.

– Wina nigdy nie leży po jednej stronie, kochanie – odpowiedziała jej mama.

Pewnie chciała ją pocieszyć, ale Zosia wiedziała swoje.

– Dawaj te tosty, bo umieram z głodu! – Zmieniła temat na przyziemny i taki, w którym jej mama czuła się lepiej.

Jak każda wiejska gospodyni, Katarzyna Małkowska uważała, że problemy najłatwiej rozwiązuje się za pomocą jedzenia. Najlepiej dużej ilości dobrego jedzenia. Naładowała Zosi na talerz dwa duże podwójne tosty z szynką i serem.

– Proszę bardzo.

Zośka pierwszy raz od dawna zjadła pełne śniadanie. Choć jej żołądek trochę się buntował, siedziała przy stole tak długo, aż wszystko zniknęło z talerza. Przecież miała oczy. Widziała po ubraniach, jak

schudła, i wcale jej się to nie podobało. Zawsze była drobnej budowy, jednak jej obecna figura już w ogóle nie wyglądała kobieco.

Zosia przypominała sobie, jak w lecie zazdrościła Adriannie szerokich bioder i pełnego biustu, na których każda sukienka wyglądała dobrze. Postanowiła zadbać o swoje ciało, żeby nie przypominać więcej wieszaka.

Po śniadaniu poszła się przebrać. I wtedy zawołała ją mama.

– Zosiu, ktoś do ciebie!

Zeszła do przedpokoju i zobaczyła w drzwiach Adriannę, ubraną w całkiem zwyczajne, jesienne ciuchy – dżinsy, botki, dłuższy sweter i krótki płaszczyk.

Ona we wszystkim wygląda dobrze – pomyślała z podziwem.

– Cześć, Ada!

– Cześć, Zosiu. Obiecałam, że przyjdę, no to jestem. – Blondynka uśmiechnęła się przyjaźnie i Zosia stwierdziła, że to może jednak okaże się miły dzień.

– Cieszę się. Zapraszam. – Gestem zachęciła Adriannę do wejścia.

Poprowadziła ją do swojego pokoju i wróciła na dół, do kuchni, żeby przygotować im herbatę. Ada stwierdziła, że kawę już wypila. Zosia nie pijała jej w ogóle.

Kilka minut później wchodziła na górę, niosąc na tacy dwie filiżanki i dwie drożdżówki z jabłkami, które jej mama niedawno wyjęła z piekarnika. Zapach roznosił się po całym domu.

– Wow! Co dobrego przyniosłaś? – spytała Ada, która aż się zaciągnęła tym aromatem.

– Drożdżówki z jabłkami, ale musimy dać im chwilę, żeby przestygły. Jedzenie gorącej drożdżówki to murowany ból brzucha – stwierdziła Zosia, a następnie położyła tacę na stoliku kawowym.

– Nie wiem, jak ty, ale ja nie umiem się powstrzymać przed zjedzeniem czegoś pysznego. Pewnie dlatego mam taki wielki tyłek – zażartowała Ada.

– Masz boski tyłek. Ja za to jestem za chuda...

– Masz świetną figurę, Zosiu. Wiele kobiet marzy o takim rozmiarze...

– To miłe z twojej strony, ale wiem, że powinnam o siebie zadbać. Nie jadłam ostatnio za dużo.

– A, to akurat fakt, zdrowie jest najważniejsze – przytaknęła jej Adrianna.

– Powiedz mi... – Zosia spojrzała na Adę błagalnie. – Wiesz może, co się dzieje z Patrykiem? Czemu nie odzywa się od sierpnia?

– Bardzo chciałabym ci pomóc, ale widziałam go tylko raz, od kiedy wyjechałam z Czarnego Lasu.

– Tak, wiem, Radek mi mówił, że Patryk chciał do ciebie wrócić. – Zosia spuściła wzrok.

– Ja myślę, że on sam nie wiedział, czego chce od życia. To taki Piotruś Pan, który nigdy nie musiał dorosnąć – zauważyła Ada. – Ale naprawdę nie wiem, co się z nim dzieje od tamtego czasu. Próbowалаś do niego zadzwonić?

– Nie, nie odważyłam się. Skoro on nie dzwoni, to czemu mam się narzucać?

– Sama powinnaś wiedzieć, czy tego chcesz. W tym ci nie pomogę – stwierdziła Adrianna.

– Jesteś bardzo miła, że w ogóle chcesz ze mną rozmawiać po tym, co zrobiłam.

– Od początku cię polubiłam. Poza tym... ostatecznie wyszłam na tej zmianie lepiej, niż mogłabym to sobie wyobrazić.

– Dobrze, że chociaż ty. I Radek. U mnie może być tylko źle albo gorzej.

– Nie przesadzaj, Zośka. Musisz po prostu w siebie uwierzyć. Jesteś ładna i mądra, masz dużą wiedzę i ciekawe pasje. Na pewno znajdzie się ktoś, kto na twój widok powie „wow”. – Adrianna puściła oko do Zosi i uśmiechnęła się przyjaźnie.

Zosia w końcu odpuściła smutną minę i odpowiedziała jej uśmiechem.

– Fajnie, że chociaż ty w to wierzysz.

– A wierzę. A teraz dawaj tę drożdżówkę, bo umrę z głodu – piśnęła Adrianna i oblizwała się jak kocur na widok szynki.

– Nie wierzę, że jesteś takim łasuchem.

– Jestem. Ale potem muszę więcej biegać, żeby spalić te pyszności. Mama Radka gotuje tak dobrze, że jak już sprowadzę się tutaj na stałe, mój tyłek urośnie w kosmos.

– Sprowadzisz się tutaj? – zdziwiła się Zosia. – A twoja świetna praca?

– Praca jak praca. Poszukam czegoś bliżej. Obiecałam Radkowi. Nie chcemy związku na odległość, a skoro on jest przywiązany do ziemi, ja muszę przeprowadzić się tu.

– Masz jakąś alternatywę zawodową? – Zosia była coraz bardziej zainteresowana. Nigdy nie sądziła, że można zostawić tak świetną i dobrze płatną posadę w korporacji, żeby zamieszkać w Czarnym Lesie bez perspektyw.

– Na razie nie, ale zaczęłam pisać książkę. Może ją kiedyś wydam?

Zosia myślała, że słuch płata jej figla. Adrianna naprawdę chciała postawić wszystko na jedną kartę. I tą kartą była miłość. *Może ja też powinnam spróbować?*

– W takim razie ja chętnie ją przeczytam – zapewniła. – Myślisz, że warto zaryzykować, nawet gdyby miało się okazać, że nic z tego nie wyjdzie? – spytała zaraz. – Wiesz, każda porażka tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że jestem beznadziejna...

– Ależ ty wcale nie jesteś beznadziejna! – zaprotestowała Adrian-na. – Skąd ten pomysł?

Zosia nagle poczuła, że musi się z kimś podzielić swoją traumą z dzieciństwa. I tym kimś okazała się *ad hoc* zdobyta słuchaczka – Ada. Opowiedziała więc, co się wydarzyło po śmierci jej ukochanej babci.

– ...i wtedy on powiedział, że to moja wina. Że jestem do niczego i że chciał wnuka – wyjaśniła, kończąc historię. – Bo wiesz, dziewczynka na wsi to żadna korzyść dla gospodarstwa... – Westchnęła. – A ponieważ moja mama nie mogła mieć więcej dzieci...

– Jezu, Zosia! – Ada aż krzyknęła na tę nedorzecznosc. – Myślałam, że to ja jestem durna, ale ty bijesz mnie na głowę! Chcesz powiedzieć, że całe życie nie wierzysz w siebie, bo gdy miałaś siedem lat, to jakiś stary, sfrustrowany dziad ci powiedział, że wolałby wnuka? I myślisz, że to on miał rację?

– A nie?

– Nie! Pamiętam, jak mi mówiłaś, że w historii pojawiały się wielkie kobiety, i kłóciłaś się o to z Patrykiem. Zaimponowałaś mi wtedy. Pomyślałam, że jesteś mądra, silna i pewna siebie. Na pewno nie beznadziejna.

Zosia zastanowiła się nad tym przez chwilę, a potem bez słowa rzuciła się Adriannie na szyję i przytuliła mocno. Ada pozwoliła jej na ten wybuch przyjaźni. Widziała, że Zośka miała depresję i że to nie jej wina. W przeszłości ktoś bardzo ją skrzywdził, podciął jej skrzydła.

- Wybaczysz mi, Ada? – zaszlochała Zosia po chwili.
- Już dawno ci wybaczyłam. Teraz ty musisz wybaczyć sobie.

Dziewczyny przesiedziały razem do obiadu. Wtedy Adrianna stwierdziła, że musi wracać, żeby zjeść z Radkiem. Kiedy wyszła, Zosia poszła do kuchni z postanowieniem, że opowie o wszystkim rodzicom.

Nie jestem beznadziejna. Nie jestem.



Pod koniec października Zosia pojechała z szefem na szkolenie do Radziejowic. Burmistrz Koszatek nie brał nawet kierowcy, bo uznał, że sam może prowadzić służbowe auto należące do gminy, a w ten sposób oszczędzi na dodatkowej delegacji. Zosia nigdy wcześniej nie jechała nigdzie sama z burmistrzem. Była przejęta i podekscytowana równocześnie. Sprawdziła wcześniej trasę w Mapach Google. Aplikacja pokazała jej dwieście trzydzieści kilometrów i oszacowała trasę na dwie i pół godziny. Zosia jednak wolała liczyć ostrożnie, bo przecież mogły się trafić korki, no i po drodze powinni się zatrzymać choć na chwilę.

Nie przewidziała tylko, jakim pedantem jest burmistrz. Jechał tak wolno, ostrożnie i zgodnie z przepisami, a w dodatku zatrzymywał się co godzinę, że w sumie przejechali te dwieście trzydzieści kilometrów w ponad trzy godziny. Kobieta czuła się bardziej zmęczona tą powolną podróżą, niż mogła sobie wyobrazić.

– Pani Zosiu, jesteśmy na miejscu – zakomunikował wreszcie Koszatek, kiedy zajechali na parking przed pięknym obiektem.

– Cieszę się, szefie. Znam takich, którzy w tym czasie dojechaliby prawie nad morze. – Zachichotała nerwowo.

Mężczyzna podrapał się za uchem.

– Ja lubię jeździć szybko, ale nie chciałem pani przestraszyć – stwierdził. – Uznałem, że skoro wiozę damę, powinienem zachowywać się jak szofer.

Zosia parsknęła śmiechem na te słowa. Nie miała pojęcia, że to przez nią tak wolno jechał.

– To nie było konieczne. Lubię ostrą jazdę – odparła i dopiero błyszczące oczy szefa uświadomiły jej, co tak naprawdę powiedziała. – To znaczy, szybko... no wie pan... – dodała wyjaśniająco, ale to niewiele pomogło.

Jego spojrzenie zmieniło się dopiero po chwili.

– Chodźmy na to szkolenie. Zaraz się zaczyna – powiedział burmistrz, po czym wysiadł z auta, obszedł je dookoła i otworzył jej drzwi po przeciwnej stronie.

Zosia poczuła się dziwnie. *To nie tak miało wyglądać... Błagam, niech on niczego ode mnie nie chce!* Postanowiła odtąd bardzo się pilnować przy szefie.

Idąc z parkingu w stronę wejścia, Zosia podziwiała architekturę pałacu, układ parku i sposób zagospodarowania tego zabytku. Owszem, rzuciło jej się w oczy, że dach został pokryty blachą, a nie dachówką, ale potrafiła sobie wytłumaczyć, że na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych warszawskie Stowarzyszenie Historyków Sztuki radziło sobie, jak mogło, z odrestaurowaniem obiektu, który w czasie wojny został kompletnie zdewastowany przez Niemców, a po wojnie przez Armię Czerwoną.

Kiedy się dowiedziała, gdzie ma jechać z szefem, zapoznała się z historią tego pałacu, żeby mieć pojęcie, o czym mowa. Po cichu zazdrościła Radziejowicom bliskości do Warszawy, bo dzięki temu ich pałac został wybrany na siedzibę Domu Pracy Twórczej, który funkcjonował do dziś, a pałac Dembińskich w Szczekocinach niszczał. *A jednak*

położenie geograficzne zawsze miało znaczenie – pomyślała. Centrum ma łatwiej, a prowincja goni tyły.

Szkolenie, a raczej konferencja zorganizowana przez Towarzystwo Miłośników Zamków i Pałaców, zaczęło się o dziesiątej. Zosia wiedziała, że nie zdąży się przebrać, więc rano ubrała się oficjalnie, tak jak do pracy. Miała na sobie szary komplet – spodnie i żakiet – w którym była tak bardzo niewidoczna, jak chciała się czuć. Jej szef, oczywiście, nigdy nie pokazywał się publicznie bez garnituru. Podobno od kiedy został burmistrzem, zupełnie zmienił styl.

Zosia nie mogła tego stwierdzić, bo nie знаła Jacka Koszatka wcześniej. Kiedy on wrócił do Szczekocin i zdecydował się ubiegać o fotel burmistrza, ona studiowała i mieszkała w Warszawie. Od innych pracowników urzędu gminy słyszała jednak różne plotki na temat mężczyzny. Jedna z nich głosiła, że ożenił się z kobietą, którą znał od dziecka, choć nie mieli ze sobą kontaktu przez wiele lat, kiedy on mieszkał za granicą.

Ja też znałam Radka od dziecka, a zawrócił mi w głowie ktoś, kogo ledwo poznałam.

Zosi bardzo spodobała się konferencja. Prelegenci mieli wiele do powiedzenia. Przybyli tam przedstawiciele gmin, na których terenach leżały zabytkowe zamki i pałace, właściciele, którzy odziedziczyli dworki i pałacyki po przedwojennych przodkach, a także przedstawiciele firm, którzy wykupili wyjątkowe obiekty od Skarbu Państwa, samorządów lub ich prywatnych właścicieli po to, żeby przekształcić je w dobrze prosperujące firmy – hotele, pensjonaty i centra konferencyjne.

Każdy z prelegentów opowiadał o swoim przypadku, dlatego konferencja miała trwać dwa dni. Na drugi dzień zaplanowano wystąpienie burmistrza Koszatka, któremu pomagała je przygotować Zosia. Nie stresowała się, bo wiedziała, że jej szef to prawdziwe zwierzę

sceniczne. Wystarczyło dać mu mikrofon i powiedzieć, jak długo ma mówić, a on... mówił. I to całkiem do rzeczy.

O czternastej zaczynała się przerwa obiadowa. Zosia mogła w końcu pójść do pokoju, żeby zostawić rzeczy i się odświeżyć. Potem zeszła do restauracji, gdzie przy swoim stoliku siedział już burmistrz.

– Polecam żeberka w miodzie – powiedział Koszatek i oblizał palce. Widać, że już zaczął się częstować, a jego mina była adekwatna do radości, jaką miał z jedzenia.

– Dziękuję, szefie, ale ja nie jem takich tłustych rzeczy – stwierdziła Zośka.

– A powinna pani. – Spojrzał na nią krytycznie. – Dobre mięsko jeszcze nikomu nie zaszkodziło. Wy, wegetarianie, nie wiecie, co tracicie.

– Nie jestem wegetarianką. – Zaśmiała się. – Po prostu jem chudsze mięsa niż żeberka.

– Jak się nie je żeberko, to widać żeberko. – Zosia usłyszała za sobą nieznany męski głos, a po chwili ktoś złapał ją w tali i wbił palce w żebra. – No, wiedziałem.

Kobieta wyrwała się natrętowi i odsunęła na dwa metry. Dopiero wtedy przyjrzała się temu, kto śmiał jej dotykać, i to jeszcze w tak nieprzyjemny sposób. Owszem, wyglądał obłądnie. Miał na sobie drogi garnitur i zegarek. Jego mina wskazywała na to, że czuł się władcą świata, a takich typów Zosia nie lubiła.

– Jak pan śmie? – spytała, przyjmując postawę obronną. Była bardzo przeczulona na dotyk obcych osób. Poczula się zaatakowana.

Burmistrz nadal siedział przy stoliku i tylko przyglądał się tej scenie z zaskoczeniem wypisanym na twarzy.

– Proszę wybaczyć mi tę śmiałość, ale nie mogłem się powstrzymać. Dawno nie spotkałem anorektyczki. – Natręt zachichotał.

– Nie jestem żadną anorektyczką ani wegetarianką! – wrzasnęła. – Odczepcie się już ode mnie wszyscy, bo przez was odechciewa mi się jeść!

Burmistrz poczuł chyba wyrzuty sumienia, bo skupił uwagę na talerzu, ale po chwili podniósł głowę i powiedział:

– Przepraszam, pani Zosiu. Nie powinienem komentować pani wyborów kulinarnych. Nie każdy musi lubić żeberka. Podobno mają tu też dobry filet z indyka z warzywami.

– Dziękuję.

Poczuła się trochę lepiej, kiedy szef ją przeprosił. Już miała wracać do wyboru dania, kiedy usłyszała:

– A więc Zosia? – spytał natręt, czym od razu zepsuł jej humor.

– Dla pana: Zofia – odburknęła. – I to tylko, jeśli sam pan się przedstawi.

– Norman Piasecki.

– Zofia Małkowska. A to jest pan Jacek Koszatek, burmistrz miasta i gminy Szczekociny – przedstawiła szefa, po czym odwróciła się w stronę stołu z jedzeniem, żeby w końcu wybrać jakiś obiad. *Skoro mają mnie za wegetariankę albo anorektyczkę, to ja im pokażę.*

Nałożyła sobie trzy pieczone ziemniaki, górę duszonych warzyw, które polala sosem majonezowym, a potem wrzuciła na talerz jeszcze filet z grilla i *de volaille* z pieczarkami. Tak uzbrojona przysiadła się do stolika burmistrza, który spojrzał zdumiony najpierw na jej talerz, a potem na nią.

– Smacznego, pani Zosiu – wydusił.

– Smacznego, szefie – odpowiedziała z uśmiechem, który miał wskazywać na jej zadowolenie z efektu, który osiągnęła.

Zaczęła jeść i poczuła się lepiej, ale już niedługo do ich stolika dosiadł się nieproszony gość.

– Państwo pozwolą, że się przyłączę.

Podniosła oczy znad talerza i zobaczyła... znowu jego. *Piaskowski? Piasecki? Jak mu tam? Jakies zagraniczne imię na „M” albo „N”* – próbowała sobie przypomnieć. Zosia po prostu tak miała, że w sytuacjach stresowych nie zapamiętywała niczego.

– Zapraszam, panie Piasecki – odpowiedział Koszatek, ratując Zosię z opresji.

– Pan jest burmistrzem Szczekocin, tak? – spytał Piasecki, zwracając się bezpośrednio do mężczyzny.

– Tak jest. Moja pracownica już mnie panu przedstawiła – potwierdził wóldarz.

– Macie tam w zasobach gminy taki piękny pałac. Barokowy, jeśli dobrze pamiętam?

– Pałac Dembińskich, zgadza się – potwierdził burmistrz.

– To zimny barok – wtrąciła się Zosia, która nie mogła słuchać takiej ignorancji w dziedzinie historii sztuki. – Bryła barokowa, dach mansardowy, ale zdobienia klasycystyczne – wyjaśniła.

– Nie ma to jak posłuchać eksperta. – Jacek Koszatek uśmiechnął się do Zosi. – Pani Małkowska jest historykiem sztuki, współpracuje z wojewódzkim konserwatorem zabytków i pełni funkcję kierownika miejskiego muzeum w Szczekocinach. W naszej gminie odpowiada za ochronę zabytków kultury.

Zosia zarumieniła się nieco na słowa szefa. Zrobiło jej się miło, że ją doceniał i chwalił, ale nie czuła się pewnie przy ich niespodziewanym towarzyszu.

– Mam zamiar przyjechać niedługo do państwa gminy – odpowiedział Norman Piasecki, niezrażony. – Nasze konsorcjum interesują zaniedbane zamki i pałace w rękach biednych samorządów – dodał, uśmiechając się cynicznie. – Oto moja wizytówka. – Przekazał

burmistrzowi kartonik wykonany z najlepszej jakości papieru amerykańskiego złotymi nićmi. Zegarek mężczyzny wyglądał tak, jakby kosztował ze dwie wypłaty burmistrza, który przecież nie zarabiał najniższej krajowej ani nawet średniej.

– Dziękuję za wizytówkę. Oczywiście, zapraszam do nas wiosną, kiedy można obejrzeć założenie parkowo-pałacowe w całej okazałości.

– Nie mam aż tyle czasu, a czas to pieniądz – odpowiedział Piasecki. – Życzę więc państwu smacznego. Zobaczymy się na drugiej części konferencji – dorzucił i zabrał się ze swoim obiadem do innego stolika.

Burmistrz popatrzył na Zosię, a ona na niego. Żadne z nich nie odważyło się wypowiedzieć tego słowa, ale oboje pomyśleli o tym samym.

Inwestor.



Popołudniowa część konferencji przebiegła podobnie jak ta przed obiadem. Zosia odczuwała już zmęczenie, jednak wyobrażała sobie, że po kolacji zaszyje się w pokoju z książką i nikt nie będzie jej przeszkadzał. Niestety, przeliczyła się.

– Szanowni państwo, kończymy pierwszy dzień konferencji. Mam nadzieję, że prelekcje się państwu podobały. Zapraszam do sal lustrzanej zamku na uroczystą kolację, która rozpocznie się o dwudziestej. Obowiązują stroje wieczorowe z dziewiętnastego wieku. Proszę zajrzeć do naszej wypożyczalni kostiumów, zanim udadzą się państwo do swoich pokoi. – Prezes Towarzystwa Miłośników Zamków i Pałaców zamknął pierwszy dzień konferencji w zaskakujący sposób.

Że co? Mam się przebrać na kolację za Zosię z Pana Tadeusza? Kobieta nie była zadowolona, ale jej szef – wręcz przerażony.

– Pani Zosiu – szepnął jej do ucha. – Dziewiętnasty wiek to jakie stroje?

– Takie à la *Pan Tadeusz* i Helena Modrzejewska – odpowiedziała niechętnie.

– Nic mi to nie mówi.

– Założy pan prawie normalny garnitur, tylko wykończenie koszuli będzie inne – odpowiedziała. – Co innego ja... Szefie, czy naprawdę muszę tam iść?

– Proszę nie zostawiać mnie samego. – Burmistrz spojrzał na nią błagalnie. – Pani jest tutaj specjalistką od historii i zabytków. Ja tylko zwykłym menedżerem.

– Dobrze, ale jest mi pan winien przysługę.

– Pani Zosiu, proszę zrobić wszystko, żeby ściągnąć do nas tego inwestora. Wszystko – podkreślił, patrząc na nią z powagą. – Jeśli pani tego dokona, uznam to za nasz szczekociński cud.

– Obiecuję, że się postaram, choć ten typ nie należy do najsympatyczniejszych.

– Zauważyłem, że jest dość... specyficzny, ale widać, że ma pieniądze i interesuje się pałacem, a my potrzebujemy inwestora – przypomniał.

– A ja przypominam, że jest mi pan winien przysługę. Nie pisałam się na żadne potańcówki, tym bardziej w przebraniach.

– Przyjmuję to do wiadomości.

Zosia poszła razem z szefem do kostiumerni pałacu i pomogła mu wybrać najbardziej klasyczny garnitur z poprzedniej epoki. Sama spędziła dłuższą chwilę w tym przybytku. Trudno było wybrać strój, który nie wisiałby na niej jak na wieszaku. W końcu coś znalazła. Długą i zwiewną błękitną suknię z lejącego się materiału, odcinaną pod biustem atlasową wstążką. Miała obłędny dekolci, a usztywniony

stanik dodawał walorów kształtnym piersiom Zosi. To jedyna część ciała, z której kobieta była dumna, więc uznała, że krój tej sukienki jest jakby stworzony dla niej. Sukienka okazała się jednak bardzo długa, więc Zosia pożyczyła też sobie z kostiumerni buty na wysokim obcasie. Przegoniła myśl, że naprawdę zacznie przypominać w tym przebraniu Zosię z *Pana Tadeusza* i zabrała zdobycze do pokoju.

Na miejscu najpierw poszła się odświeżyć do łazienki, a potem przebrała się w wypożyczoną suknię. Spojrzała w lustro i zobaczyła, że jej włosy w ogóle nie pasowały do tej stylizacji. Rozjaśnione końcówki wydały jej się tandetne. Zawinęła więc hiszpański kok. Potem zrobiła sobie jeszcze delikatny makijaż, podkreślający jej wielkie szare oczy i kształtne, różowe usta, i znowu spojrzała w imponujące lustro, w którym mogła przejrzeć się cała. W końcu była zadowolona ze swojego wyglądu. *Może nie jestem miss świata, ale przynajmniej nie zaczę straszyć* – uznała.

Założyła jeszcze wypożyczone buty. Zauważyła, że musi chodzić w nich ostrożnie. Zwykle nie nosiła tak wysokich obcasów, a poza tym to jednak były buty stylizowane na poprzednią epokę. Zosia przypomniała sobie, jak miała podobne, kiedy jako dziecko tańczyła w ludowym zespole pieśni i tańca. *Jak ten czas szybko leci* – uświadomiła sobie, próbując przywołać z pamięci kroki mazura czy kujawia-ka. *Raz-dwa-trzy...*

Schodząc do holu, wypatrywała szefa. Powoli, stopień za stopniem, ostrożnie stawiała nogi, żeby się nie potknąć na schodach. Jedną ręką trzymała się poręczy, a drugą podtrzymywała sukienkę. Na dole nie czekał na nią jednak burmistrz, tylko Norman Piasecki w bardzo eleganckim kostiumie osiemnastowiecznego magnata. Wyglądał w nim obłędnie, o wiele lepiej niż w swoim drogim garniturze.

Zosia nie mogła nie docenić wyglądu mężczyzny, nawet jeśli nie wzbudzał w niej żadnych pozytywnych uczuć.

– To nie jest dziewiętnasty wiek – przypomniała, kiedy próbował podać jej rękę.

– Ale ten strój okazał się bogatszy i bardziej elegancki – stwierdził Piasecki i wzruszył ramionami. – Radzę ci przyjąć moją pomoc, Zosiu, bo masz nie swoje buty, a podłoga w holu jest bardzo śliska – dodał.

Rozważyła słowa przebranego magnata i przyjęła podane ramię. Piasecki pomógł jej zejść z ostatniego schodka.

– Widział pan mojego szefa? – spytała Zosia.

– To takie ważne?

– Owszem, bo jestem tu w pracy.

– Pytałem, czy jest dla ciebie ważny prywatnie.

Zrobiła wielkie oczy i spojrzała zdumiona na rozmówcę.

– To mój szef. Jak pan to sobie wyobraża?

– Widywałem już różne układy i konfiguracje. Ale skoro nie, to może zechciałabyś dotrzymać mi towarzystwa dzisiejszego wieczoru?

– To zależy, co ma pan na myśli. I nie przypominam sobie, żebyśmy przeszli na „ty” – wygarnęła mu już wkurzona.

Puściła jego ramię i przyspieszyła kroku, bo w drugim końcu holu zauważyła przełożonego. Piasecki pobiegł jednak za nią.

– Szefie, gdzie pan się podziewał tak długo?

– Męczyłem się z tym żabotem – odpowiedział Koszatek, nieco zakłopotany.

– Trzeba było powiedzieć, pomogłabym. – Zosia uśmiechnęła się do szefa, ale zaraz mina jej zrzedła, kiedy zobaczyła, że Norman Piasecki stał tuż obok i się szczyrzył, wcale nie życzliwie.